

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

7

— Śmia mnie oskarżać? mnie? — zawołała. — Mnie, która byłem gotowa poświęcić swe życie, by tylko go ocalić. To nie hańba, to ostry nóż, który mi wbili w serce.

Byłem bardzo wzruszony, postanowiłem jednak stanowczo nie okazywać jej swego współczucia, dopóki nie przekonam się zupełnie pewnie o jej niewinności.

— Panią to bardzo dotknęło, miss Eleonoro — rzekłem jej — lecz czyż pani nie zdawała sobie sprawy z tego, jak będą tłumaczyli milczenie pani o znalezionym kluczu? Czyż pani naprawdę sądziła, odmawiając wszelkich wyjaśnień, że publika — nie mówię już o policy — nie posunie się do dalszych przypuszczeń?

— Lecz...

— Gdy pani zaprzeczała temu, jakoby trzymała w ręku papier przy wyjściu z biblioteki, gdy pani nie chciała wyjaśnić Grynowi, w jaki sposób znalazł się u pani klucz...

Cofnęła się w tył; słowa moje widocznie ją przestraszyły.

— Czyż pani naprawdę przypuszcza, że można ukryć przed publicznością to, o czym wiedzą agenci?

Nic nie odpowiadała.

— Miss Eleonoro — rzekłem — zdaje mi się, iż pani nie rozumie, w jakim położeniu się znajduje. Jeżeli pani rozważy bezstronnie całą sprawę, dojdzie do tego przekonania, iż należy wyjaśnić...

— Ja nic nie mogę wyjaśnić — wyszeptała słabym głosem.

— Nie może pani?

Nie wiem, czy wpłynął na nią ton mego głosu, czy podziały tak me słowa, lecz cofnęła się znowu, jakby ją kto uderzył w twarz.

— Co? — zawołała — pan także wątpi o mnie? Myślałam, do głowy mi nie mogło przyjść, żebym ja... — wstrząsała się cała — więc i pan nie wierzył mi także od samego początku, więc dosyć było panu tych mniemanych dowodów przeciw mnie, by uwierzyć w moją winę? — Opadła bezsilnie na fotel i rzekła ledwie dosłyszalnym głosem: — Teraz jestem już sama, opuszczona przez wszystkich.

Wzruszyło to mnie bezwiednie. Podeszedłem ku niej i odezwałem się:

— Miss Lavenfort, przecież i ja tylko człowiekiem jestem. Lecz nie mogę patrzeć na pani rozpacz, niech mi pani powie, że jest niewinna, a uwierzę pani bez względu na wszelkie dowody.

Wstała i zwróciła się do mnie.

— Czy może ktokolwiek powiedzieć, patrząc mi w oczy, że ja jestem sprawczynią tego strasznego morderstwa?

Gdy kiwnąłem smutnie głową, dodała.

— Ach, więc pan chce dowodów? — przy słowach tych rzuciła się ku drzwiom. — Niech pan idzie za mną.

Poszedłem za nią, drżąc cały z obawy i wzruszenia. Szybko pobiegła po schodach i gdy dobiegł ją, stała już przy drzwiach pokoju, w którym leżał jej stryj.

— Wejdzmy — rzekła i otworzyła drzwi.

Bardzo byłem zdziwiony tem wszystkim, mimo to szedłem za nią. W pokoju nie było lampy, światło jednak dochodziło z korytarza. Eleonora uklękła i nachylając się nad zwłokami zmarłego, położyła mu na piersi swą rękę.

— Powiedział pan, że uwierzy mi, jeżeli powiem, że jestem niewinna — rzekła — niech pan patrzy.

Przyłożyła twarz do umarłego, pocałowała go w usta, potem powstawszy, odezwała się:

— Czy przypuszcza pan, że mogłabym to uczynić, gdybym go zabiła? Jeżeliby krew jego ciążyła na mnie, czyż mogłabym podejść do niego z taką czułością? Twierdzono dawniej, iż z rany trupa zaczynała płynąć krew, jeżeli zbliżał się do niego zabójca — mówiła dalej — cóż teraz winnoby się stać, gdybym ja w istocie podniosła na niego rękę?

Tak byłem przejęty tą sceną, iż nic nie mogłem mówić.

— Niech usłyszysz mnie Bóg wszędzieobecny, wszystkowiedzący. Jeżeli choć myślą, choć słowem jestem winna jego śmierci, niech on mnie ukarze wobec ludzi.

Nachyliłem się ku niej i wziąłem ją za rękę.

— Więc teraz wierzy mi pan? Nie wątpi pan

o mej niewinności? — zapytała, a uśmiech ukazujący się na jej twarzy dowodził, jak wielką to jej radość sprawiało. — Teraz niech zaczyna się walka na życie i śmierć, przyjmuję wyzwanie, gdyż znalazł się choć jeden człowiek, który wierzy mi mimo świadczących przeciw mnie poszlak.

Gdyśmy zeszli z powrotem do salonu, zastaliśmy tam ku swemu zdziwieniu Mary Lavenfort. Okryta płaszczem stała pośrodku pokoju i czekała na nas. Rozumiejąc dobrze, jak ciężkim jest dla nich to spotkanie, zamierzałem już odejść, lecz w miss Mary było coś takiego, co mi nakazało zmienić swe postanowienie. Podeszedłem do niej i rzekłem:

— Pani kuzynce udało się to, czego pani tak bardzo pragnęła — przekonała mnie o swej niewinności. Teraz jestem gotów dołożyć wszelkich starań, aby znaleźć z pomocą Grysa prawdziwego sprawcę śmierci pani stryja.

— Zawsze byłem przekonana o tem, że dosyć jest spojrzeć w oczy Eleonory, by przekonać się o jej niewinności — odpowiedziała Mary, patrząc mi prosto w twarz.

Uczułem, jak krew rzuca mi się do głowy i chciałem już jej odpowiedzieć na to, lecz zanim zdążyłem odezwać się, ona mówiła dalej zimnym tonem:

— Wogóle stan, w którym człowiek widzi się oskarżonym lub choćby podejrzewanym o straszne przestępstwo, jest bardzo ciężki, prawie nie do zniesienia dla każdego, a tembardziej dla młodej panny, żyjącej w beztrosce i otoczonej troskliwością bliskich sobie ludzi. Kuzynka moja może być przekonana, że z nią bardzo współczuję.

Przy słowach tych zdjęła płaszcz i po raz pierwszy dopiero spojrzała na swą stryjeczną siostrę. Eleonora zrobiła krok naprzód; wydało mi się, że w chwili tej dzieje się coś bardzo ważnego, co ma ogromne znaczenie dla obu panien, czego jednak nie mogłem domyśleć się.

Eleonora pierwsza opanowała się i cofając się znowu w tył, rzekła spokojnie:

— Nie potrzebuję współczucia, a wymagam tylko sprawiedliwości.

Powiedziawszy to, odwróciła się plecami do Mary i dodała:

— Chodźmy do drugiego pokoju, panie Rymond, tam porozmawiamy jeszcze.

Mary jednak szybko podeszła do niej i biorąc ją za rękę, przytrzymała ją:

— Nie, przedtem musimy rozmówić się z sobą, Eleonoro, ja ciebie bez tego nie puszczę.

Spojrzałem na Eleonorę i przekonawszy się, że jestem zbędny tu, szybko wyszedłem z pokoju. Przez dziesięć minut chodziłem w głębokiej zadumie po salonie. W domu tym była jakaś tajemnica. Lecz jaka? Co wywołało nieprzyjaźń między kuzynkami, które chowały się razem i winny się kochać?

Naraz usłyszałem jak otworzyły się sąsiednie drzwi i słowa Mary:

— Po tem, co zaszło obecnie między nami, nie możemy już zostawać pod jednym dachem, jedna z nas musi opuścić ten dom.

Zaczerwieniona i wzburzona wyszła na korytarz i postąpiła kilka kroków ku mnie, lecz gdy tylko mnie zobaczyła, cały jej gniew znikł odrazu, zalała się naraz łzami i zbiegła szybko po schodach na dół. Jeszcze nie zdążyłem zdać sobie sprawy z wrażenia, jakie na mnie wywarło jej dziwne zachowanie się, gdy do pokoju weszła miss Eleonora. Widocznie się już uspokoiła, twarz jednak jej była bardzo zmęczona i blada. Zauważyłem, że po naszej poprzedniej rozmowie, gdy się przekonała, że znalazł się choć jeden człowiek, który jej wierzy, ona jakby wzrosła na duchu i przygotowała się do spokojnego znoszenia ciosów losu i walki o życie, która musiała się zakończyć jej zwycięstwem. W chwili tej podobna była do królowej, podającej dłoń swe do zakucia w kajdany, ustępującej wobec przemocy, lecz nie przestającej czuć się królową.

— Niech mi pan wytłumaczy, co dzieje się dookoła mnie — rzekła — rzeczywiście wydaje mi się teraz, że nie zupełnie rozumiem położenie, w jakim się teraz znalazłam.

Zadowolony byłem z tego jej wezwania i zacząłem przedstawiać szczegółowo całą sprawę, zatrzymując się na tych punktach, które jej wydawały się zupełnie jasnymi, lecz które w innych budziły niewiarę i podejrzenie. Wykazałem, jaki zły wpływ wywarło milczenie jej o niektórych faktach i prosiłem ją, by choć mnie wyjawiała to, co ukrywała przed innymi.

— A ja sądziłam, że pan zadowolony się tem, co już powiedziałam — rzekła, drżąc na całym ciele.

— Tak, ja pani wierzę, ale chcę, by i inni mogli pani wierzyć — odpowiedziałem.

— Wątpię, czy to się kiedy stanie — odparła smutnie — imię moje skalane na zawsze.

— I pani raczej pogodzi się z tem, niż powie choć słowo?

— Nie wiem, czy słowo moje może pomódz co w tej sprawie.

Mimowoli obróciłem się; przypomniał mi się Fobbs, który urządził sobie naprzeciwko punkt obserwacyjny.

— Jeżeli sprawa moja istotnie tak źle stoi, jak pan mówi — ciągnęła dalej — to nie zdaje mi się, by pan Gryś uwierzył moim słowom.

— Wiem, że dla Grysa jest bardzo ważnym szczegół, w jaki sposób klucz znalazł się u pani, gdy to będzie wiedział, wtedy dopiero będzie mógł wpaść na prawdziwy ślad.

Nic nie odpowiedziała i znowu zrobiło mi się ciężko na duszy.

— Powinna była pani dać mu jakiekolwiek wyjaśnienie — tłumaczyłem — choćby nawet przyniosła pani szkodę tej osobie, którą chce obronić przed podejrzeniami.

Wstała z silnymi rumieńcami na twarzy.

— Żeby nie wiem co się stało, nigdy nie powiem, w jaki sposób ten klucz znalazł się u mnie. Nawet żeby wszyscy najbliżsi moi prosili mnie na klęczkach — nie powiem!

Po słowach tych znowu opadła na fotel.

— Miss Lavenfort — odpowiedziałem — pani postanowienie, by za cenę własnej reputacji okupić spokój innej osoby, jest bardzo szlachetne, lecz ani przyjaciele pani, ani nikt inny, kto ceni prawdę i sprawiedliwość, nie przyjmie od pani podobnej ofiary. Mimo to, że pani nie chce nam nic powiedzieć, my będziemy jednak działali i szukali nawet bez pani pomocy. Już ten sam fakt, że pani jest adoptowaną córką najlepszego przyjaciela pana Beleya, zmusiłby mnie do dołożenia wszelkich starań, by zmyć plamę z pani imienia. Teraz, po tej scenie przy zwłokach nieboszczyka, której byłem świadkiem, nie wart byłbym nazwy porządnego człowieka, gdybym nie bronił pani czci.

— Co pan chce zrobić? — zapytała po długiej, męczącej przerwie.

— Chcę znaleźć winowajcę i oddać go w ręce sprawiedliwości, by uwolnić panią od podejrzeń.

— Wątpię, czy to się panu uda: przecież w tym wypadku ma pan do czynienia z zabójcą, którego nikt nie zna.

— Ktoś go zna — odpowiedziałem z naciskiem.

— Kto?

— Dżen, która uciekła z tego domu, musi znać tę tajemnicę. Gdy znajdziemy ją, wymieni ona z pewnością nazwisko zabójcy.

— Jest to tylko domysł z pańskiej strony — odpowiedziała.

Zauważyłem jednak, że strzała, jaką wypuściłem, trafiła do celu.

— Nie, ona nie może mi pomódz — dodała ze smutkiem.

— Więc nikt, ani nic nie może pani pomódz? — zapytałem.

Odwróciła się ode mnie w milczeniu.

— Miss Lavenfort — rzekłem jej — pani nie ma ani matki, ani brata, który mógłby zaopiekować się panią i przyjść z pomocą. Niech pani pozwoli mnie choć w części zastąpić ich i odpowie mi na jedno pytanie.

— Czego pan chce się dowiedzieć?

— Czy rzeczywiście wzięła pani wtedy ze stołu jaki papier?

Milczała i jakby zastanawiała się nad pytaniem i odpowiedzią. Wreszcie zwróciła się do mnie i rzekła.

— Odpowiem, lecz tylko panu, panie Rymond: tak, wzięłam papier.

— Nie pytam się pani o jego treść — mówiłem dalej — lecz niech pani pozwoli zadać sobie jeszcze jedno pytanie; papier ten istnieje jeszcze? Spojrzała mi prosto w twarz i odrzekła:

— Nie.

Z trudem zdołałem ukryć swój zawód.

— Miss Lavenfort, naleganie moje może wydać się okrutnem, lecz niebezpieczeństwo, grożące pani jest tak wielkie, iż ośmielam się zadać pani jeszcze jedno pytanie: Czy może pani powiedzieć, jakiego rodzaju był ten szmer, który pani słyszała, siedząc u siebie w pokoju po wyjściu z biblioteki pana Hervela a przed zamknięciem drzwi?

Widocznie zaszedłem za daleko w swej gorliwości, bo zaraz dała mi to poznać.

— By okazać panu, jak bardzo cenię pańską troskliwość o siebie, odpowiedziałam na kilka pytań; niech pan tem się zadowolni i porzuci już ten temat.